



**JÓZEF IGNACY
KRASZEWSKI
ZYGMENTOWSKIE
CZASY**



JÓZEF IGNACY
KRASZEWSKI
ZYGMUNTOWSKIE
CZASY

Copyright © 2011, wydawnictwo MG

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw

ISBN: 978-83-7779-035-9

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

I

GOMÓŁKA I GROSZ JAŁMUŻNY

Chłodnym rankiem jesiennym Kraków spoczywał jeszcze we mgłach, które nad nim zawisły jak szara wielka opona, gdy młody podróżny zbliżał się ku niemu gościńcem od Rusi wiodącym. Już ukazały się wieże białe i czarne dachy nastrzępione kominami, chorągiewki i gotyckie facjatki kamienic, już dolatywał uszu dźwięk rozkołysanych dzwonów rozmaitymi głosy wołających na modlitwę, już zaczynało blade i zimne słońce wrześnie wybijać się zza chmur i tumanów, gdy ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi jego, rzucił kij i sakwę podróżną, a sam usiadł, a raczej ze znużenia czy trwogi padł na ziemię. Oczy jego zwróciły się na miasto, stanęły nieruchome, zaszły łzami, potem spuściły ku ziemi i smutno pokryły powieką.

I kto wie, co w tej chwili działo się w duszy, drgało w sercu? To pewna, że niejedna myśl ciężka przeleciała przez głowę, niejedno uczucie zatrzęsało piersią. I jemuż to płakać? Jemuż myśleć tak głęboko? To dziecina jeszcze, której rówieśnicy biegają po łąkach za motylem, za bąkami i śmieją się wesoło, tarzając na zielonej murawie. Dziecina, ale ją nieszczęście czy cud i łaska Boża uczyniły młodzieńcem przed laty. Widać z tych łzawych, mgłą zaszłych oczu, że już myśli, z czoła sfałdowanego, że cierpiał, z bladego lica, że mu i odrobina życia już zaszła gorczą.

A tak młody jeszcze, tak młody. Nie wiem, czy dożył czternastu lat, czy zaczął piętnaście. Cienki, chudy, słabowity, blade na twarzy, drobnych rąk, maleńkich nóg chłopczyk, z siwymi dużymi

oczyma, jasnym na ramionach włosem i uśmiechającymi się smutno usteczkami. W rysach jego jest coś przypominającego kobietę, coś niemęskiego, bojaźliwego, cierpiącego.

Na nim granatowy czekmanik wyszarzany, koszulka z grubego szarego płótna, pod szyją wstążeczką czerwoną związana; na głowie czapeczka maleńka, sukienna. Para butów wisi na kiju, który niesie na plecach razem z lekkim podróznym węzełkiem.

Jak gdyby się zląkł miasta, upadł na pagórkę, zakrył twarz rękoma i płacze gorzko, a niekiedy podnosi oczy, popatrzy i znowu je chowa w dłonie.

A na gościńcu gwar, ruch, bo gdy się miasto ze dniem obudzi, z okolicy spieszą nakarmić olbrzyma – stolicę, i każdy niesie datek na zaspokojenie głodu jego. Tam fury siana, owsa, zboża, dalej wozy z powiązanymi bydłętami; stada owiec na rzeź pędzone, wieśniacy pojedynczo, ten z nabiałem, ten z kurką, tamten z wiankiem grzybów, z odrobiną jarzyn, z garnuszkiem masła, z zawiedłym serkiem! Na gościńcu gwarno, pył się podnosi kłębami, śpiewy, powitania, rozmowy rozlegają się wesołe, a Kraków coraz głośniej dzwoni, we dwadzieścia, we czterdzieści, w sto dzwonów kościelnych.

I wsłuchawszy się z daleka w te pomieszane głosy spiżowych ptaków, co tak wesoło teraz, tak dźwięcznie śpiewają, zdaje ci się, że słyszysz rozmowę jakąś pełną tajemnic, dziwaczną, współpobożną, współszyderską; zdaje ci się, że chwytasz słowa tego języka niepojętego, który tak daleko rozlega się po świecie, a co chwila inaczej, a coraz rozmaiciej. Niekiedy smutno jęczy, to płacze, to znów wesoło śpiewa, to coś poważnie mówi, to powolnie rozpowiada, to cię drażni urywanymi półsłówkami.

Aż ode dźwięku dzwonów rozbiły się mgły wiszące nad miastem, porwał je wiatr i poniósł kędyś daleko! Słońce zajaśniało blade, czyste i pożłociło kopuły, krzyże, dachy, chorągiewki i zielone drzew wierzchy, i czerwone wieżyczki bram i murów. Chłopiec podniósł oczy, ujrzał ten nowy widok przed sobą i zgarnawszy

z głowy czapeczkę, ukląkł, przeżegnał się, począł modlić; łzy mu się toczyły po twarzy jak krople rosy, aż smutno było spojrzeć.

I choć ukląkł na pagórku opodal trochę od drogi, przecież niejednen jadący do miasta zapatrzył się na niego, widząc go zwróconym twarzą ku Krakowowi, spojrzał nań, czy tam jakiego cudownego zjawiska nie zobaczy, potem na chłopca znowu, potem ruszył ramionami i szedł dalej. Niejedna kobieta dłużej się zatrzymała, westchnęła, a odchodząc, kilka razy zwróciła głowę, zobaczyć, czy się jeszcze modli. On się modlił i płakał ciągle.

Dwie przekupki wyjechały za miasto, żeby taniej dostać, czego im było potrzeba do straganów. Wprawdzie ówczesne rozporządzenia zakazywały wyskakiwać tak na drogi i żywność wykupywać, ale kiedyż to słuchają co do słowa rozporządzeń? Zawsze się od nich wykręcają ludzie, tłumacząc to tym, to owym, a jest to coś także nawet miłego w przestąpieniu zakazu, w strachu, co w szyję pędzi, i w zwyciężeniu trudności i niebezpieczeństwa. Tego zapewne nie szukają przekupki za miastem, ale są, których i to goni.

Nasze dwie przekupki, pani Marcinowa i pani Janowa, szły drogą, targując jaja i masło u przechodzących, już nawet jedna i druga miały ich sporo w fartuchach, gdy ujrzały chłopczyka, co jeszcze klęczał i modlił się ze złożonymi rękoma.

– Patrzajcie no, jejmość.

– Abo niosą jaja?

– Ej! Co mi tam wasze jaja, a toć to tam na pagórku ktoś klęczy i modli się.

– Ho! A gdzie?

– Ot, na prawo.

– A! Do kata! Prawda! A ot i stara baba niesie garnek, pewnie z masłem.

– Patrzajcie no bo na te prześliczne chłopię. Jezu, co to za ładne niebożątko! Jak mi Pan Bóg miły, anioleczek, jeno mu skrzydeł braknie!

– A ot jaja, pani Marcinowa.

– Wzięłoby ich lichy! Patrzajcie no, czego on się tak zamodlił, a lży mu na oczętach błyszczą?

– Kto go tam wie!... Chodźmy lepiej do masła.

– Patrzajcie no...

– Chodźcie bo potargować...

– Ale bo wy, kumo, nie zważacie!

– Modli się, to się modli; niech mu tam Bóg da wszystko dobre, a my do jaj i do masła, bo, dalipan, nadejdzie kto... albo...

– Dalipan, kumo, aniołeczek...

– Nie chcecie?

– Targujcie sami!

– To pomóżcież mi.

– Ot, zaraz; ano podejść i popatrzę, wszak ci to on płacze, trzeba się popytać, zobaczyć, może go jaka krzywda spotkała...

– Pilnowalibyście swego, a patrzali, z czego chleb jecie.

Obie kumy ruszyły ramionami i pani Marcinowa zbliżyła się do chłopaka, a pani Janowa do garnków z masłem i króbek z jajami.

– Dzień wam dobry, chłopczyku! Dzień dobry! – zawołała, potrząsając głową i podnosząc ją.

Chłopiec ani pomyślał, żeby się to powitanie do niego stosować miało, i nie obejrzał się nawet.

– Patrzajcie, tak się zamodlił, że nie słyszy! – I powtórzyła swoje: – Dzień dobry, kochaneczku!

W tej chwili skończyła się modlitwa, chłopiec upadł na murawę pozołkłą i jakby się wahał, jakby lękał iść dalej, oparty na rękę siedział nieruchomo. Dosłyszał przecie pozdrowienia i powoli, przez ciekawość, odwrócił głowę i oczy zapłakane. Spotkał się z ciekawym wejrzeniem pocziwej pani Marcinowej, która swoją czerwoną, połyskującą zdrowiem twarz trzymała zwróconą w górę. Ale jeszcze nie uwierzył, żeby głos słyszany do niego się miał stosować.

Trzeci więc raz musiała pozdrowić go ciekawa przekupka...

– Dzień dobry ci, chłopczyku.

– Dzień dobry, matko – odpowiedział po cichu podróżny i zawstydzony, znowu twarz zakrył dłonią.

– Coście się tak modlili, a podobno i popłakiwali? Hę?

– Alboż człowiek wie, skąd mu płacz i modlitwa przychodzi?...

Oboje Bóg daje – rzekł chłopiec.

Marcinowa głową ruszała. Jaki rozumny, gada jak ksiądz.

– Wy z daleka? – spytała głośno.

– O, z daleka, matuniu!

– I pewnie do naszego Krakowa?

– A dokądżeby, matko?

– Musicie mieć kogoś z sobą?

– Pana Boga.

Marcinowa ciągle kiwała głową.

– Oj! I tak sam jeden szliście aż tu! Miły Panie Jezu! Sam jeden!

– Różnie bywało, matuniu, po większej części sam jeden.

– Musicież mieć do kogoś zalecenie albo pismo, albo może krewnych?

– Nic, nic... nikogo... Bożą opiekę i miłosierdzie ludzkie.

– Oj! oj! Jakież to biedniątko! – wołała Marcinowa, klaskając w dłonie. – Panie Jezu, z daleka! Samo jedno, na łasce ludzkiej, na opiece Bożej! I nie bałeś się tak iść?

– A czegoż bym się miał bać?

– Złodziei, przypadków... Bóg wie – dodała, żegnając się – złego ducha.

– Cóż by ze mnie wzięli złodzieje? Od złego ducha jest krzyż, na zły przypadek anioł stróż.

– Aż miło słuchać, taki dzieciak rozumny... A cóż myślicie robić w Krakowie?

– Nie wiem... i dlatego widzicie mnie płaczącego, bo gdy mi już blisko tego Krakowa, o którym marzyłem, na którym nadzieja cała, to mnie strach taki bierze, taki strach, matko...

I znowu zapłakał.

– Nie bójcież się, moje dziecię! Kto z Bogiem, Bóg z nim! Aniołowie pańscy z tobą, mój kochany... Nie opuści cię Matka Boża, opiekunka sierot i biednych; wielki Kraków, jest w nim litości dość i chleba dostatek!

– Bodajby mi słowa wasze dobrą były wróżbą, matko... niech wam Bóg za nie nagrodzi.

– Nie ma za co! Dalipan, nie ma za co! Ot, możecie nie je-dli? – spytała żywo...

– Mam jeszcze chleba kawałek...

– Naści do niego, moje dziecko, gomółkę.

– Nie mam grosza...

– A kto cię o niego prosi! To mi później oddasz, kiedy ci się w mieście powiedzie! Znajdziecie Marcinową w straganie na rynku, pierwsza budka od brzegu, zielono malowana, na kółkach, na daszku kogut czerwony. Poznacie! A jakby wam chleba zabrakło, to przyjdźcie jutro do mnie, przyjdźcie, kochaneczku, zawsze łyżkę stawy znajdziecie.

Chłopak pocałował rękę, która mu, drżąc, wyciągnęła białą gomółkę, i łyzy, ale radości zabłysły mu w oczach.

– Niech wam to Bóg zapłaci, dobra, litościwa niewiasto! – zawołał – Nie urodziłem się na żebraka, na to, bym rękę do ludzi wyciągał... Bóg tak chciał, niech będzie wola Jego. O, nigdy nie zapomnę waszej jałmużny! I będę się za was modlił! Teraz, po waszych słowach, śmielszy i weselej wejdę do Krakowa.

Ale pani Marcinowa, na którą kuma od dawna krzyczała, odeszła już była, dawszy gomółkę, i zapalała się ogromnie, targując gar-nuszek masła. Chłopak tymczasem wdziewał buty, zapinał suknię, roztrząsał włosy poplątane na ramionach i zającując gomółkę, wziął kij i ruszył ku miastu.

Ale serce tak mu biło, że głód czuć się nie dawał, schował ser i wlepiwszy oczy w stolicę, której przedmieście pełne było gwaru i ruchu niedzielnego targu, siedł dalej, powolnie, oglądając się, ustępując i pilnując ścieżki pod kamienicami.

Mój Boże, jak tu wszystko wydawało mu się dziwne, wielkie, straszne prawie i cudowne. Wlepiał wejrzenie w gmachy, w ludzi, zastanawiał spoglądać na gwary, co mu się bitwami wydawały. Niedzielne dzwony głużyły go, szum miejski niepokoił. Trafił na otwarte drzwi kościelne i zdejmując czapeczkę, wszedł.

Ranna msza właśnie się odprawiać miała u Panny Marii i przed główny ołtarz wyszedł ksiądz w białym ornacie, za nim dwóch chłopców we świeżych komeżkach, niewiele było ludzi w kościele. Kilku dziadów pod kruchtą, kilku mieszczan w odświętnym odzieniu w ławkach, które kluczami sobie otwierali i wchodzili na własne miejsca, kilka kobiet klęczących u kratek, dzielących prezbiterium od nawy kościoła. Chłopiec przykląkł w progu, uderzył czołem, złożył ręce, a w tej chwili rozsunęły się firanki przed obrazem Matki Bożej i jakby światło z Jej wizerunku na ubogiego sierotę padło, organ zahuczał, dzwonki zabrzmiały, nabożeństwo się zaczęło.

On się modlił, modlił, a nieraz łzy gorące na kamienną posadzkę spadały, nieraz zwrócił oczy na twarz Bogarodzicy, złotą uwieńczoną koroną.

Już ksiądz błogosławił krzyżem pobożnych i odszedł od ołtarza, a chłopiec nie wstał jeszcze.

Za nim słyhać było szmer, dwoje jego wieku chłopiąt, spoglądając na niego, rozmawiało cicho.

– Patrzaj no, Pawełku, jakiś obcy!

– I biedota, jak my, Janku.

– Oj! A modliłżeby się tak, gdyby nie był biedny?...

– Pewnie nie. Zaczepim go, jak będzie wychodził z kościoła, popytamy.

Gdy pacholęta szepczą, jakiś stary, w szarej kapocie, siwego wąsa i wystrzyżonej czupryny, ponurej, pomarszczonej twarzy człowiek, który w czasie mszy uważał pilnie na modlitwę gorącą podróżnego chłopięcia i w twarz się jego wpatrywał, zatrzymał się przy nim także, podparł na kiju sękatym i pogładziwszy czoło, kiwnął na niego.

Chłopię, co się tego nie spodziewało, nie wzięło z początku wezwania do siebie i nierychło go usłuchało, aż je siwy za rękę pociągnawszy, za sobą na cmentarz wywiódł.

Postawił je przeciw sobie, patrzył mu długo w oczy, marszczył się okrutnie, wąsy gryzł, a nareszcie burknął, jakby łajał.

– Co to ty za jeden?...

– Sierota, panie!

– Sierota! Hm! Sierota!! – powtórzył kilka razy siwy jegomość, kręcąc głową, i pod nosem dodał cicho: – *Za syrotoju... Boh z kalitoju**. A skąd?

– Z daleka, panie.

– Z Polski?...

– Z Rusi litewskiej.

– O! Z Rusi... *Hora z horoju ne zojdetsia***, patrzajcie, Rusin! A z kimżeś przyjechał?

– Przyszedłem sam.

– Sam! – zawsze burkając, groźnie mówił siwy – hm! po cóż? do kogo?

– Szukam przyporzyska, życia, chleba.

– A tamże to nie masz nikogo, hę?

– Nikogo! – I chłopiec ciężko westchnął, a lży ciche potoczyły się mu znowu na rękaw sukmanek.

Siwy jegomość podkaszał, coś gderając pod nosem, połą szarackowej kapoty, dobył spod niej sakiewki i wyszukawszy grosza białego, dał go chłopcu.

– Naści, na, dobrześ się modlił, święcieś się modlił, Bóg ci to daje przeze mnie, nie ja, nie ja! A nie popsuj się w mieście, a nie oducz się modlitwy!

Chłopak ledwie miał czas począć dziękować, gdy siwy, gderając jeszcze coś szybko, odszedł, kijem wywijając nad głową, powtórzywszy:

* *Boh z kalitoju* (ukr.) – za sierotą... Bóg z woreczkiem.

** *Hora z horoju ne zojdetsia* (ukr.) – góra z górą się nie zejdzie.

– *Nad syrotoju Boh z kalitoju.*

Ledwie odszedł, aliści przystąpili do niego dwaj chłopcy, co za młodym podróżnym wyszli z kościoła, spojrzeli mu w oczy i starszy, z ostrzyżoną krótko głową, męskiej postawy, czarnych oczu, rumiany, zatrzymując chłopaka, pozdrowił.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

– Słyszeliśmy, coście mówili z Rusinem, chcemy i my wam pomóc!

– A! Mój Boże – zawołał rozrzuwiony sierota – skądże tyle łaski Twej na mnie?

– Albożecie się to nie spodziewali od ludzi pomocy?

– O, niewiele!

– To źle, bracie, to źle... Lud u nas dobry, a Bóg lepszy jeszcze, czasem i złego na pocziwy uczynek nakłoni. Widzicie nas dwóch ubogich przed sobą, a jest nas takich w Krakowie... – I obrócił się do towarzysza: – Wiele?

– Jak maku! A kto nas policzy?

– Widzicie! I każdy z nas chodzi, żebrząc powszedniego chleba, a żadnemu go nie zabrakło jeszcze.

– To cud! – zawołał podróżny.

– To prosto tylko pocziwe serce pocziwego ludu, co się z nami dzieli ostatnim kęsem. Nie chodzimy do bogatych, nie stoimy u drzwi pałaców, żebrzem u ubogich jak my, u pracujących, u tych, co znają niedostatek i rozumieją głód. U wrót kamienic, chatek, klasztorów co dzień dają nam jałmużnę, a śpiew żaka nieraz z kaletki i biały grosz wyprowadzi. Chodź z nami, tyś nasz.

– Pocałujmy się – rzekł drugi.

– Dobrze, uściskajmy się i pocałujmy naprzód.

I uściskali się wesoło, aż raźniej zrobiło się podróżnemu na sercu. Wzięli go pod ręce.

– A teraz ty nasz towarzyszu... chodź do naszej gospody, poprowadzimy cię do swoich, nauczym, co masz robić...

II

ŻACY

W XVI wieku, gdy się nasza powieść zaczyna, Kraków był jeszcze prawdziwą Polską stolicą, dożywał on dni swoich i przeczuwając jakby, że wkrótce utraci ważność, którą młode na Mazowszu odziedziczy po nim miasto, wesoło, raźnie kończył swoją epokę wielkości i blasku... Wszystko tu wówczas było życiem, liczny dwór, bogate mieszczaństwo, znakomite duchowieństwo, pierwsza w kraju szkoła utrzymywała w nim to życie... Bogate dwory panów polskich, litewskich, ruskich mieniły się tu, otaczając większy i wspanialszy od innych dwór królewski... O każdej dnia, o każdej nocy godzinie wrzały i szumiały ulice; zalewał je lud, zalewały ozdobne poczty panów, wspaniałe pochody uroczystości religijnych lub smutne pogrzebowe kondukty; po rynkach ożywał miasto handel; po placach rozstawione stragany, budki, szalasy, ławki, stołki przyciągały i dworaków, i mieszczaństwo, i służbę wielkich panów. Gdzieś się obrócił, wszędzie natłok, ścisk, wrzawa wesoła, śmiechy i śpiewy. Na końcach nawet stolicy, z których zwykle życie ucieka, aby się skupić w ognisku, żydostwo w nieustannym ruchu i zajęciu utrzymywało się dniem i nocą.

Cały rok był jakby jednym wesołym dniem świątecznym przeciętym tylko kilkoma odpoczynkami. Ale te chwile spoczynku teraz już stawały się coraz częstsze – niestety; niejeden mieszczanin krakowski, wsparłszy się na kij, poglądał smutno na zamek królewski, mówiąc w duchu:

– I znowu nie ma króla jegomości! I znowu Kraków pusty! Na

próżno ksiądz Orzechowski admonicje mu daje słuszne, iż taki woli bawić w swoim Wilnie, przy swoich stadach tykocińskich, niż w starej stolicy Piastów! Litwina ciągnie serce do domu.

A jednak Zygmunt August mieszkał dość często w Krakowie i skargi te przedwczesne na opuszczenie stolicy dopiero za jego następców ostatecznie usprawiedliwić się miały. Nabranym z dawna życiem i siłami, młodzieńczo żył jeszcze Kraków, nie przewidując bliskiego upadku.

Ludność jego podówczas niezmiernie rozmaita była, a właściwa miejscowa tonęła w daleko większej liczbie przybyszy. Do tych policzyć naprzód musimy ogromny tłum różnorodnych uczniów szkoły głównej i szkół pomniejszych, zwanych pospolicie jednym zbiorowym nazwiskiem – żaków. Tłum ten, wyróżniający się silnie obyczajami, zajęciem i energią młodości od reszty, składał się z młodzieży majątnej i ubogiej wszystkich prowincji dawnej Polski. Między nim jednak (choć w mniejszej liczbie) znajdowali się Węgrowie także, Czechy, Niemcy i sąsiednich krajów dzieci.

Pomimo że już w początkach XVI wieku wszędzie w Europie zaprzątniono się urządzeniem szkół i ustanowieniem pewnych dla młodzieży praw, w Krakowie jeszcze, jak i gdzie indziej, stare zwyczaje silniejsze były od nowych ustanowień.

Młody ten lud, niełatwo poddający się zmianie, trzymał się tradycji swawoli jak tarczy. Zwierzchność też szkolna nie nastawała w początku zbyt pilnie na spełnienie rozprządzeń, które się ostre wydawać musiały. Żacy więc, pomimo licznych rektora uniwersytetu, biskupa kanclerza i samego króla postanowień, byli jeszcze czym dawniej – wielkim tłumem napełniającym postrachem mieszczan, a zwłaszcza heretyków i Żydów.

Odpłacali im za to niejednym uciskiem dworzanie wielkich panów i swawolna gawiedź magnatów, ale żak sownie tę chwilę upokorzenia i ucisku oddawał różnowiercom, odemścił na nieznośnych mu Izraelitach.

Żyd był naturalnym wrogiem żaka; obaj się nie cierpieli, obaj na widok swój zadrzeć musieli mimowolnie, a był czas, gdy przerażone żydostwo nieraz kupami przed jednym żakiem pierzchało. Tłum żaków dzielił się na bardzo wiele klas i części, gdyż wszyscy, nawet ci, co się uczyli przy szkołach kościelnych parafialnych, liczyli się do ciała akademickiego i jego swobód używali. Ci zaś, którzy po bursach mieszkali i w kolegiach akademickich uczyli się, nie tylko tego połączenia z żakami szkolnymi nie unikali, ale widząc w nim powiększenie siły, sami je wyzywali.

W licznych założonych przez dobroczyńców bursach skupiała się akademicka młodzież; bursy te, zostające pod naczelnictwem starszego seniora, jednego z kolegów uniwersytetu, to jest profesorów, mieściły bogatszą lub uboższą młodzież, wedle początkowego ich ustanowienia. W wielu z nich uczniowie mieli tylko dozór i pomoc do nauki, chleba codziennego żebząc w pewnych godzinach po mieście. A jak wszędzie więcej jest ubogich niż majątnych, i tu, w liczbie żaków górowali żacy żebracy, paupry, którym, jak ptakom, Pan Bóg przez ręce litościwych ludzi zsyłał strawę codzienną.

I nie myślcie, że przez to żak nabierał pokornej miny, postawy żebraczej, że się stawał bojaźliwy i płaszczący. Przeciwnie, młodzież żebrząca owego czasu szaleńsza była od bogatej i srożej nadziewanej* rodziny możnych panów. Pomimo że przepisy wymagały po uczniach na ulicę wychodzących stroju duchownego, jednostajnego, mało na niego jednak zdobyć się mogło i niewielu nosiło; pomimo że surowo zakazywano przypasywać oręż, wszyscy go jednak mniej więcej oczywiście mieli, zwłaszcza starsi, a niezbrojni w szable nosili potężne kije, niemniej od białej broni Żydom straszne. Większa część akademickiej młodzieży pod wąsem była, bo aż do trzydziestu i za trzydzieści lat czasem przeciągała się nauka późno zaczęta. Seniorowie w bursach, rektorowie po szkołach, nie mogli

* nadzorowanej

utrzymać uczniów w nakazywanej ryzi, musieli patrzeć na ich postępy przez szpary. Młodzież, uzuchwalona i co chwila przywodząc w obronie stare zwyczaje, dokazywała też po młodemu. O! Bo wiekowi temu wiele potrzeba na zużycie sił, jakie mu Bóg dał, a na dobre czy na złe użyć ich musi koniecznie. I biada temu, kto w sobie nie poczuł młodości.

Tradycje wieków średnich wskazywały żakowi nieprzyjaciela, wroga w Żydzie. Oskarżano Żydów naprzód o wielką zbrodnię ich praojców, potem o męczarnie dzieci na paschę i używanie krwi chrześcijańskiej, o zatrutowanie wody itp. Znęcano się też nad nimi bez litości, a żak, gdziekolwiek spotkał Żyda, nie mógł czy słowem, czy ręką nie zaczepić go przynajmniej. Było też dawne prawo, które dozwalało żakom wybierać opłatę od Żydów wwożących do miasta cokolwiek bądź, wjeżdżających i wyjeżdżających, przechodzących nawet bramy. Opłata zwała się z hebrajskiego przekreślonym nazwiskiem: kozubalec. Pomimo że kampsorowie, co ją pobierali, mieli na to pewne zwyczajowe przepisy, działały się liczne bezprawia, gdyż żacy sami oprócz tego, a często gwałtownie, nieprawdy jeszcze kozubalec w różnych miejscach wydzielali przypadkowo.

Na widok też tłumu żaków, który na dany znak się gromadził, wyrastając z ziemi, Żyd truchlał i wymykał się ciemnymi zaułki, klnąc po cichu i ukośne za sobą rzucając wejrzenia.

W XVI wieku przybył drugi tej młodzieży nieprzyjaciół – heretycy. Duchowieństwo przez szpary patrzyło na prześladowanie protestantów, a młodzież nieraz okrutnych dopuszczała się gwałtów na domostwach, jeśli nie na osobach nowowierców, ona reprezentowała wówczas oburzenie, opinię ludu. Musiano osobnymi prawami obostrzyć bezpieczeństwo majątności i osób innych wyznań, a i to niewiele pomogło.

W pewnych porach roku, w pewnych dnia godzinach rozlegał się śpiew młodzieńczy na ulicach Krakowa. Naówczas stawali u drzwi swych mieszczanie, uciekali Żydzi, otwierały się okienka, białay

w nich główki niewieście w krasnych czółkach bramowanych – żacy to śpiewali, chodzący za jałmużną.

To się zastanawiali u drzwi bogatszych mieszczan, panów, duchownych, to wpuszczeni wchodzili do wnętrza, to czasem obrawszy miejsce pod figurą, przy murze kościelnym, pod cmentarzem, wzywali litości przechodniów.

Ubodzy nosili garnuszek przy sobie, do którego składali darowane jadło, nosili sakwy, gdzie chleb codzienny chowali, a książka w ręku, znamię żaka, była jakby cechą, po której się oni poznawali.

Skłonni do wszelkiego rodzaju gwałtów, między sobą nie przychodzili nigdy prawie do sporów i zatargów, co by ich na długo rozdzielić mogły, owszem, silni jednością, utrzymać ją się starali. Żak wspomagał żaka książką, nauką, chlebem i ręką w potrzebie; na głos jednego zlatywali się wszyscy.

Chociaż wedle przepisów żacy powinni byli mieścić się w burdach ku temu urządzonych, mnóstwo jednakże wpisanych w matrykuły szkolne nie miała stałego siedliska. Latem przepędzali nocę na ulicach, u wrót kościołów, zimą wpraszały się do domów, a większa część ubogich, najmuąc się do posług bogatszym uczniom i mieszczanom, zarabiała i chleb powszedni, i przytulisko u pieca.

Jedynym wówczas w całej Polsce miejscem dla nauki był Kraków, w Wilnie zaledwie akademія jezuicka, pod tytułem tymczasowym gimnazjum, urządzać się zaczynała; toteż tu zbiegali się z dalekich stron ci, co byli chciwi chleba, nauki i przyszłości.

Niejeden sierota o zebranych kęsie włókł się do stolicy jak do portu i znajdował w niej i utrzymanie powszednie, i obietnicę welszego jutra.

Mało młodości potrzeba, bo żyje nadzieją, przyszłością i sama sobą. Żebrząc chleba, tułając się biednie, żacy byli szczęśliwsi od wielu, a pieśń pobożna, wesola, dialog świąteczny, powinszowanie, oracja, co z ich ust wychodziły, wylewały się swobodnie, malując dusze pełne stoickiej na terazniejszość obojętności, pełne nadziei w jutrze.

I niejedno, niejedno z tych wesołych dzieci ulic wyszło na znakomitego człowieka, na użytecznego krajowi i chlubę ubogiej swojej rodziny; niejednen chodził potem w szkarłacie i złotym łańcuchu.

Ale wróćmy do podróźnego naszego, którego co krok spotyka pomoc, litość i niespodziewana opieka, począwszy od jałmużny Marcinowej, która była wesołą wróżbą, wszystko się dla niego składało tysiąckroć lepiej, niż marzył. Miał już biały grosz w rękę i dwóch jak on młodych, jak on ubogich, a pełnych najlepszych chęci towarzyszy. Oni, ciągnąc go z sobą w głąb miasta, tłumacząc mu nazwania ulic, gmachów, stroje ludzi, których spotykali, wypytывali sami ciekawie młode chłopię. Ale odpowiadając im otwarcie na pozór, w istocie nic nie mówił dzieciak, wzdychał i umyślnie jakby usuwał zapytania dalsze.

– I skądże ty jesteś? – pytali go.

– Z daleka, z Rusi, nie pytajcie więcej, nie powiem, powiedzieć nie mogę.

– Sierota?

– Sierota! O! najbiedniejszy z sierot, bo nie mam nikogo na całym Bożym szerokim świecie, nikogo!

– I nic – dodał Pawełek.

– Prócz tej sukmanki i pary koszul, prócz mego smutku i opuszczenia.

– A któż cię tu przysłał?

– Kto? Bóg. Coś mi ciągle do uszu szeptało: idź do Krakowa. Idź, tam naukę i chleb znajdziesz. I poszedłem. I przyszedłem, jak widzicie.

A potem westchnął znowu.

– Cóż myślisz począc z sobą?

– Co Bóg natchnie. Zapiszę się do szkoły; będę służył za chleb powszedni i uczył się.

– Wszak my tak robim wszyscy! Ale czy znajdziesz służbę? Czy wysłużysz chleb, jak się zapiszesz do szkoły?

– A! Ja sam tego nie wiem!

– Słuchaj no – rzekł Pawełek – co ty umiesz?

– Ja – prawie nic.

– Ale przecież coś umiesz?

– Niewiele, braciszku, bardzo niewiele.

– Musiałeś gdzieś chodzić do szkoły, choćby do jakiego wiejskiego mistrza.

– Do szkoły? Nie, ale uczyłem się.

– Gdzieżeś się uczył?

– Sam, sam się uczyłem trochę, trochę ludzie dopomagali. Stary jeden ksiądz.

– Umiesz czytać?

– Po polsku i po łacinie.

– O! I po łacinie.

– I trochę tłumaczyć.

– Patrz go! To dość, będziesz się mógł zapisać z nami. Chodź, chodź.

– Gdzież mnie prowadzić myślicie?

– Do naszego seniora, to dobre, pocziwe człowieczysko, on nam coś poradzi.

Zastanowili się w ulicy, bo właśnie napotkali tłum studentów, którzy z krzykiem biegli, wywijając kijami, jakby kogoś gonili.

– Dokąd to, bracia? Dokąd?

– Czyścim ulice, ksiądz z procesją tędy iść będzie, czyścim ulice z Żydów.

I poczęli wołać:

– Hola! Hola! A do chlewa, łapserdaki, a do chlewa, precz, z drogi!

Żydzi tłumem nieśli się szybko, oglądając za siebie, w przeciwną stronę. Jeden tylko stał nieruchomy, z rękoma w kieszeniach, z czapką na uszy naciśniętą, poglądał na żaków nieśmiało, ale spokojnie dosyć i nie ustępował. Dwóch na czele wyprawy będących zatrzymało się przy nim i kiwnęło głowami.

– *Szulin lachem, Herr Hahngold*, jak się macie? I ruszajcie precz, bo procesja idzie.

– Nu! nu! To ustąpię w czas, nie bójcie się, ustąpię.

– I życzę w czas – dodał drugi żak – bo mimo żeś ty nasz kampsor i winniśmy ci wdzięczność i uszanowanie za twoje pieniądze i zdzierstwo, nie obeszłoby się bez admonicji po grzbiecie.

– A waj! A waj! Co za zuchy! – odezwał się Hahngold – wojować z Żydem.

Mówił to, udając zupełną spokojność na pozór, ale w wejrzeniach niepewnych, biegających, w ruchu rąk, które w kieszeniach drgały, wydawała się tajona bojaźń.

Kampsor to jest podskarbi bursy: pan Hahngold, bogaty Izraelita, który wybierał kozubalec dla żaków od swoich współwyznawców, nadto jest ważną figurą, abyśmy go tu lepiej czytelnikom poznać nie dali.

Hahngold miał może lat pięćdziesiąt, może więcej, ale wyglądał czerstwo jeszcze i rumiano: długa broda ryża, długie pejsy, podobnego, lecz żółciejszego koloru, spływały mu na piersi i ramiona. Trocha twarzy spod włosów wyglądająca, czerwona, piegowata, z nosem spuścistym, świeciła dwojgiem oczu pokrytych rzęsami i brwiami zwisłymi, żółtosiwymi, spod których wejrzenie Żyda ze żrenic jego żółtopłowych padające dziwniej jeszcze połyskiwało. Oczka te nieustannie latały, obracały się, ciskały na wszystkie strony, a niekiedy ruchom ich towarzyszyły konwulsyjne drgania prawej ręki i nogi. Sinych ust ledwie spod wąsów i brody zarosłej cokolwiek widać było; kryły się one w czerwone włosy kampsora. Ubiór jego podobny był dzisiejszemu strojowi Żydów, pokrywał go płaszcz po wierzchu czarny, łatany i niepozorny, związany jedwabnym sznurkiem pod szyją. Na głowie miał głęboko wsuniętą czapkę z lisami, której wierzch z wypłowiałego żółtego aksamitu ledwie coś nad futro wychodził. Za pasem sukni, ukryty wprawdzie, ale jeszcze widoczny, długi miał nóż w czarnej pochwie z rękojeścią

hebanową, zakrzywioną. Obok niego wisiał na rzemyku kałamarz rogowy, futeralik na pióra i zwitek papieru oplątany sznurkiem jedwabnym. Postać jego nie okazywała wcale dostatku i owszem przeciwnie, a jednak wieść powszechna, pomimo starannie objawianego ubóstwa, czyniła go niezmiernie bogatym. Został kampsorem bursarzy nie dla zysku, bo zysk w tym nie mógł być wielki, ale raczej dla zabezpieczenia się od napaści. Dom jego w oddalonej części miasta położony, ukryty w opalisadowanym podwórku, rzadko się dla kogo otwierał, on sam to jawił się wszędzie, przemykał w miejscach, gdzie mógł być najmniej spodziewany.

Spotykano go snującego się nieraz po korytarzach klasztornych, w ubogich mieszkaniach kolegów akademickich, nawet na królewskim zamku; a zawsze z nasunioną na oczy czapką, spuszczoną głową, jak gdyby się taił i ukrywał. Z jego rozmowy dość było można, że miał nauki więcej niż pospolici uczeni żydowscy, a nauka ta nie ograniczała się do Biblii i Talmudu. Umiał po syryjsku, chaldejsku i arabsku, mówił z łatwością wszystkimi prawie dialektami Wschodu; czytał traktaty hermetyczne, dzieła kabalistyczne i astrologiczne, powiadano nawet, że się wdawał w alchemię. Niektórzy utrzymywali, że wynalazł wielką tajemnicę, ale tego arkanu nikomu naturalnie powierzyć, do jego nawet zbadania nikomu przyznać się nie chciał. Że zaś ukazywał się wszędzie, gdzie kto zajmował się alchemią, gdzie się kurzyło w kominie od ognia retortowego, mówiono, że był w spółce ze wszystkimi alchemistami swojego czasu. Co robił w domu, gdzie nikogo nie dopuszczał, nie wiadomo i chyba w nocy tam zajmować się czymś mógł, bo we dnie, wieczory, a często i późniejsze godziny nawet, postrzegano go w różnych miejscach miasta. Zawsze odarty, brudny, wzgardliwy, przybierający minę pospolitego Żyda, ale nie bez szyderstwa w oku, nie bez tajemnego jakiegoś uśmiechu skrytego w brodzie – ustępował z drogi wszystkim, kłaniał się i płaszczył widocznie umyślnie. Przed tymi, którzy go bliżej nie znali, udawał nawet nieuka i gbura,

a po każdy grosz, po każdy choćby najmniej znaczący zysk, równie chciwie wyciągał rękę.

Taki był kampsor Hahngold, którego w tej chwili napotkawszy, żacy usiłowali namówić do odwrotu. On jakby miał pilną potrzebę pozostać, oglądał się niespokojnie, trwożliwie na wszystkie strony, ruszał konwulsyjnie ręką w kieszeni i stał w bramie domu.

- No! no! Ruszaj, Hahngold, bo już słyszeć procesję, już dzwonią.
- Zaraz, zaraz, ot idę, ot idę.

A stał uporczywie. Wtem błąkający się na wszystkie strony wzrok jego padł na młodego chłopca, którego prowadzili z sobą dwaj żacy. Obejrzał go od stóp do głowy i wlepił znowu oczy w twarz podróżnego z upartą ciekawością.

Kilka razy usta otwierał, jakby go coś gryzło i niepokoiło, czego nie śmiał powiedzieć, potem nieznacznie schwycił za rękaw Pawełka Sorokę, który szedł z nieznanym chłopcem, i odciągając go w bramę, spytał cicho:

- Co to za jeden?
- Kto, ten chłopiec?
- A?
- Pauper jak my, szuka chleba.
- Żyd głową pokręcił.
- A skąd to on?
- Mówi, że z Rusi.
- On mówi, że z Rusi? Ale skąd?
- Nie chce powiedzieć.
- Dawno on tu? – I Żyd pilnie w twarz przybylca się wpatrywał.
- Tylko cośmy go spotkali.
- A gdzie go prowadzicie?

– Do naszego seniora, do pana Pudłowskiego, niech mistrz pomyśli, co z nim zrobić; niebożątko chce się wpisać, a podobno i otrząsin nie będzie miał za co sprawić i wpisu opłacić, bo mówi taki, że o żebranym chlebie się tu przyciągnął.

– A co jemu pomoże magister Pudłowski?

– Może co poradzi.

Hahngold głową pokręcił, oczyma rzucił i kiwnął na chłopca, który nieśmiało zbliżył się ku niemu.

– Co to? Wy do szkoły przyszli?

– Jeżeli mnie przyjmą.

– Jak wy się nazywacie?

– Maciek.

– Maciek! A! A więcej?

Chłopiec się zmieszał, szczerwienił i dodał:

– Więcej nie wiem.

– Już ciż macie nazwisko?

– A! Nazwisko!

– Tak, nazwisko – dorzucił Pawełek Soroka.

– Nazwisko – Skowronek.

– Piękny ptaszek! – zaśmiał się Paweł. – Ty Skowronek, ja Soroka, ot, nas dwoje ptaków, ale sroka większa i piękniejsza. Czarna na niej sutana, a komeżka biała.

Chłopiec nic nie odpowiedział, a Żyd zrobił minę, jakby nazwisku nie wierzył, i powtórzył kilka razy pod nosem:

– Skowronek, Skowronek! A macie wy co pieniędzy z sobą? – spytał Hahngold.

– Jeden grosz biały, co mi go dał jakiś litościwy człowiek.

– W szaraczkowej kapocie, siwy – dorzucił Żyd.

– Właśnie.

– Znam go – mruknął Żyd – zawsze jeden! Zawsze ten sam! I dodał po cichu do siebie: – To on, to on!

– Jeżeli go znasz, powiedźże mi, kto to taki, niech wiem, komu wdzięczny?

– Wszyscy go znają w mieście. To Rusin, pan Czuryło. Oj! oj, a kto go nie zna. A dał ci tylko jeden grosz biały, mówisz?

– Jeden.

Żyd się zawiął koło pasa, ale bardzo nieznacznie, odszpilił coś pod płaszczem, rozwiązał i milcząc, szukał jakby czegoś; potem żywo dobył wyschlą rękę spod poły, w której błyszczała para srebrnych groszy, włożył je Skowronkowi w dłoń i nie czekając podziękowań, umknął w dziedziniec.

– Dziecko szczęścia! – zawołał Paweł Soroka. – Wszak to same cuda cię spotykają! I ten Żydzisko, od którego grosza nie wydusić na zastaw, daje ci jałmużnę czy pożyczkę! Dziecko szczęścia! No, chodźmy.

Ale Skowronek tak był zdziwiony datkiem nowym, że się nie mógł z miejsca ruszyć, poglądał to na grosze, to na towarzysza swego, ust nie umiejąc otworzyć.

– Ot, po trochu zbierze się na otrząsiny, chodź, Maćku, do seniora – do pana Pudłowskiego, chodź, bo go potem nie zastaniemy.

Gdy to mówili, w ulicy dały się słyszeć dzwonki, śpiew i wszystka ludność poczęła się rozsuwać, przyklękać, czapki z głowy zdejmować. Uklękli i żacy, a Maciek się znowu modlił. Procesja przeszła, Soroka pociągnął go za sobą.

– To już niedaleko – mówił – ot, widzisz tam kamienicę na rogu, czerwoną, ganek mały na cienkich słupkach, a nad nim we wgłębieniu obraz świętego Grzegorza biskupa, to nasza bursa; pospieszajmy, abyśmy zastali pana Pudłowskiego.

I szli żwawo, trzeci towarzysz zniknął im, połączywszy się z tymi, którzy oczyszczali ulice z żydostwa. Przyszli pod domostwo, którego wrota otworem stały, i schodami na prawo skierowali się na piętro.

W bursie panowało teraz milczenie głuche, bo żacy z niej wyciekli do kościołów, na ulice, coś tam tylko szelpotało w mieszkaniu starszych od przodu, pewnie którego chory przyzostał albo słudzy uprzątały izby. W tyłach od dziedzińca były obszerne izby ubogich, od których w tej chwili otwarte okna dawały dojrzeć tablic czarnych, ław porzniętych nożami, porysowanych węglami pieców i rozrzuconych linii i książek.

Schody do mieszkania pana Pudłowskiego były zaniesione jesiennym błotem, brudne, wykoślawione, chwiejące, a ściany zasypane napisami,

rysunkami i nazwiskami, do których przyczepione dodatkowe kognominacje swawolników wyciągały się wzdłuż po murach różnymi charakterami i różnokształtnymi literami dopisywane. Nad niektórymi imionami wznosiły się wysoko nakreślone uszy ośle i wielkimi literami dodany

BEANUS

Ale obaj nasi przychodnie nie mieli czasu zastanawiać się nad stylem lapidarnym i symbolami ściany zdobiącymi, spieszyli do niskich drzwiczek, u których zawieszona kozia łapka na sznurku zwiastowała, że nie oznajmiwszy się, nie każdemu wchodzić było można.

– Widzisz, Maćku Skowronku, jak się magister nasz ufortyfikował, żeby go żacy nie napadali. Każe dzwonić, nim wejdiesz, i pocałować kozią łapkę, nim pocałujesz jego łapkę. I nie dziw, ma niemało pracy i nie lubi, gdy mu przerywają; pisze śliczną łaciną, fraszka Gamfredowa, poemat! Nikt nie wie o czym, łapaliśmy tylko karteczki, na których pełno było wierszy łacińskich, poprzekreślanych i pomazanych. Całe dnie siedzi, a niekiedy aż na dole słyhać, jak skanduje. Kto go tam zresztą wie, co robi i dlaczego się zamyka, że i chłopiec bez pozwolenia nie wejdzie. Nawet dziurka od klucza zasłonięta. To człowiek skryty i niedocieczony.

Zadzwonili.

Chropowaty głos ozwał się ze środka po łacinie.

– Kto tam?

– *Studiosi ad Dominationem Vestram venientes!**

– *Studiosi!* – pisnął głos ze wnętrza. – *Ite ad scholam occupatus sum***.

* *Studiosi ad Dominationem Vestram venientes!* (łac.) – Uczniowie przybywający do Waszej Wielmożności!

** *Studiosi! Ite ad scholam, occupatus sum* (łac.) – Uczniowie! Idźcie do szkoły, jestem zajęty.

– O! to mu się zebrało na łacinę! A słyszysz, jaka łacina! – zawołał Pawełek.

– *Domine magister* – dodał – *pauper ad te veniens studiosus**.

– *Ite ad diabolum! Ite et attendite***.

– Czy rozumiesz? Mówi, żebyśmy szli do diabła, a my przyszedli do niego i koniecznie się dostaniem – to tak zawsze.

– *Domine magister, beanus est, studiosus novus; ad Dominationem Vestram consilii gratia veniens****.

– *Ite ad diabolum* – powtórzył głos ze środka – *studiosus et beanus, asini ambo*****.

– *Gratias agimus. Aperite******.

Na te ostatnie słowa uporczywie dopominającego się wpuszczenia Pawełka odryglowały się drzwi, wysunęła się głowa.

Oczekiwali jej wprawdzie żacy, ale nie w tym miejscu, w którym się im ukazała. Zwykle bowiem o półtrzecia lub dwa łokcie od ziemi wysuwa się *facies****** patrzącego, tu zaś z podziwieniem Maćkawyrała się jakby spod ziemi, bo ledwie o półtora łokcia od podłogi. I jakaż głowa, rozczochrana, z czarnymi włosy, czarnymi ślipiami, gębą wykrzywioną i wiszącymi wargami, popryszczona cała, nakryta biretem, a pierza pełna.

– A to ty, Soroko! – zawołał magister, otwierając – po co nie w porę przychodzisz, hę?

* *Domine magister pauper ad te veniens studiosus* (łac.) – Panie magistrze, ubogi student do ciebie przybywający.

** *Ite ad diabolum! Ite et attendite* (łac.) – Idźcie do diabła! Idźcie i czekajcie.

*** *Domine magister, beanus est, studiosus novus, ad Dominationem Vestram consilii gratia veniens* (łac.) – Panie magistrze, jest beanus, nowy student; do Waszej Wielmożności przybywający dla porady.

**** *Ite at diabolum – studiosus et beanus, asini ambo* (łac.) – Odźcie do diabła – student i beanus, obaj osły.

***** *Gratias agimus. Aperite* (łac.) – Dziękujemy. Otwórzcie.

***** *facies* (łac.) – twarz

– *Dominatio Vestra!*

– Daj mi pokój ze swoją paskudną łaciną, którą paplesz jak prawdziwa sroka, aż mi uszy od niej wędną. Czego chcesz?

– Przyprowadzam nowego ucznia, beana, który wpisać się chce, niebożátko, choć dawno po świętym Grzegorzu. Ubogi; nieborak przyszedł do Krakowa za nauką i chlebem.

Senior dopiero zwrócił krwią zasłże oczy na Maćka i utkwiał je w przybylcu, który się do ziemi pokłonił, potem puścił drzwi i poskoczył do wnętrza, a za nim żacy nasi.

Tu dopiero w całej swej postaci i splendorze okazał się im magister. Była to biedna, połamana figurka, niezmiernie niskiego wzrostu, garbata, głowa na ramionach przekrzywiono osadzona, ręce długie, nogi cienkie, a na końcu ich ogromne łapska, ozute w czarne skórzane trzewiki. Magister miał na sobie ubiór czarny, klerykalny, poplamiony, i biret na głowie.

Izba, do której weszli, wybielona niegdyś, z dwoma wysokimi wąskimi oknami, poprzedzona ciemną sionką, pełna była ksiąg, papierów i uczonych rupieci. Między oknami wisiał czarny krzyż drewniany, palma i gromnica. Przy stole stały dwa krzesła skórą wybite, ale przeglądające włosieniem spod podartych jej kawałków. Oba te krzesła pokryte były pyłem, dawno widać nikt na nich nie siedział; papiery także, chociaż w świeżym jakby nieładzie, książki, choć tylko co zdaje się otwarte, kurzem przysypane były.

Maciek mimowolnie zauważył, że sznurek od koziej łapki szedł, mijając pierwszą tę izbę, do drugiej. Widać tam musiał przesiadywać magister, ale od niej ciężko okowane drzwi zaparte były i klucz ogromny w zamku dowodził tylko, że świeżo ją odwiedzano.

– Czego chcecie? – spytał garbusek żywo.

– Chce się wpisać beanus.

– Hę? O tej porze?

– Biedota, aż z Rusi przywędrował piechotą, za nauką.

Garbusek oczy wytrzeszczył, biret posunął, rękami się po kolanach uderzył, usiadł i rzekł:

- Żywo, żywo, nie mam czasu. Co umiesz? Jak ci imię?
- Imię Maciej, nazwisko Skowronek, a nie umiem nic.
- Nic? To idźże do parafialnej szkółki liter się uczyć.
- Czytać umiem.
- To już nie nic, a więcej?
- Pisać umiem.
- A widzisz.
- Po łacinie trochę.
- Rób wersję.

I rzucił mu Corneliusa na stół.

Chłopiec otworzył książkę i począł odważnie tłumaczyć. Magister i Soroka równie wielkimi oczyma patrzyli, równie nastawionymi słuchali uszami.

– To przypadek! – rzekł niecierpliwie Pudłowski. – Weź fabuły Fedrowe.

I Maciek począł z równą pewnością tłumaczyć wcale dobrze drugie zadanie.

– Hę! hę! A gada, że nic nie umie. No, no, wpiszesz się jutro, możesz chodzić do szkoły, a statkuj waść, a nie bądź ciekawy.

– Słowo w słowo to mówi każdemu – szepnął Soroka.

– Po ulicach się nie włócz darmo i nie w porę, broni nie noś, suknię przyzwoitą wdziej, Żydów nie bij i idź sobie do licha, bo ja nie mam czasu. A nie bądź ciekawy. Rób swoje, a cudzego nie patrz. Hę! czegoż jeszcze stoicie! – zawołał – niedziela, wpisu nie ma! Idźcie do licha i nie przychodźcie więcej, idźcie. A beanusowi dać pokój!

I pogroził palcem po nosie Soroce.

– *Dominatio vestra* pozwoli go trochę otrząsnąć?

– Nie potrzeba; a idźcie z lichem, bo nie mam czasu.

To mówiąc, odprowadził ich aż do drzwi, które za nimi zatrzas-

nał; ale ledwie się one zamknęły, Soroka pochwycił za dzwonek i zawołał:

– *Domine magister!*

– Jeszcze czego?

– Pozwolicie otrząsnąć?

– *Ite ad diabolum cum beano**.

– Otóż jest i pozwolenie.

I jakby na przekorę, jeszcze raz porwał za dzwonek.

– Idźcie precz! Idźcie precz! Kto tam znowu?

– Ja, Soroka.

– Jeszcze ty tu?

– Czapkę zostawiłem w izbie.

Słuchać było ryglowanie, stukanie i klęcie, potem ręka wysunęła się ze drzwi, wyrzuciła czapkę i znikła.

Soroka zadzwonił jeszcze raz.

– *A diabolus incarnatus!*** . Chcesz, abym cię ochłostał?

– Chciałem podziękować za czapkę.

Głębokie odpowiedziało tylko milczenie. Soroka śmiał się po cichu, ale serdecznie.

– Teraz chodź do naszej gospody – rzekł do Skowronka – musisz się z beana otrząsnąć.

* *Ite ad diabolum cum beano* (łac.) – idźcie do diabła z beanem.

** *A diabolus incarnatus!* (łac.) – a diabeł wcielony!

III

OTRZĄSINY

Żaków gospoda w odległej części miasta była położona. Budynek to stary, jednopiętrowy, z popękanymi od pożaru murami, z okopconymi ścianami, dwoma nierównymi kominami nad spiczastym górującymi dachem. Kilka schodów kamiennych, wychętanych*, wiodło do wąskich dębowych drzwi okutych, które jedyne do niego wejście stanowiły. Nade drzwiami niezgrabnie namalowany ptaszek, a raczej pisklę z dziobem żółtym, otwartym, siedzące w gniazdku, otaczał wieniec suchych gałęzi, pod nim dwie miotły na krzyż leżały. Okna okiennicami popękanymi zaparte były, a cichość panowała we środku.

– Jeszcze nie ma nikogo – rzekł Pawełek, zajrzawszy – poczekajmy i przejdźmy się ulicą.

To mówiąc, wziął za rękę Skowronka, który w posłusznym siedział za nim milczeniu, i pociągał go dalej z sobą.

W tej chwili ubogi żak, bosy, z dzbanuszkim nadbitym i próżnym w rękę, zaszedł im drogę.

– A co? – spytał Soroka – gdzie nasi?

– Zebrali się w końcu ulicy z dwoma beanami i czekają na trzeciego.

– Prowadzę go właśnie. Chodźmy! chodźmy.

To mówiąc, pociągnął Skowronka; ale ten się zatrzymał i cicho, łagodnie spytał towarzysza:

*wychętanych – wydeptanych

– Bracie, dokąd i po co idziemy?

– Dokąd? Po co? – odpowiedział Paweł. – Nie powinien bym ci tej wielkiej wydawać tajemnicy, ale słuchaj, żal mi cię. Jesteś z nas najmłodszy. Wiesz, co znaczy *beanus*?

– Nie wiem, to nazwisko.

– Właśnie nazwisko takiego jak ty, każdego do szkoły przybyś. Każdy przybyły musi odbyć pewne próby, wytrzymać obrzęd otrząsin – *beanorum depositio*, pozbyć się starego siebie, nim między nas za brata przyjęty zostanie. Podziękuj swojej gwiazdzie, żeś na nas trafił i że masz dwóch towarzyszy. Inaczej dłużej i srożej byś był męczony.

– Jak to? Męczony?! – zawołał, bledniejąc, Skowronek.

– Nie bój się, chodź, każdy żak przez to przejść musi, rzecz nieuchronna jak śmierć, nic ci się nie stanie, lepiej dziś niż jutro. Czekają, spieszmy.

Skowronek, zafrasowany, bojaźliwie posunął się za Soroką. Zbliżając się do miejsca, gdzie uliczka na prawo zwracała, spostrzegli ciemny tłum stojący w milczeniu. Tłum ten składał się z żaków samych, po większej części czarno, odarto dosyć i lichy ubranych, zbrojnych w miotły, kije, motyki, grabie, siekiery drewniane, sznury i rozmaity oręż. Na czele tłumy, z wielkimi wąsami czarnymi, podparty w boki stał ogromny, barczysty, kuso ubrany żak, w czapce na bakier, spoglądający w stronę gospody. Obok niego dwóch mizernej postawy w lichych sukniach chłopców, białych i wylęknionych, zdawało się na coś oczekiwać. Ujrawszy Sorokę wiodącego Maćka, zaszemrał ochoczo tłum i poruszył się stary. W oknach domostw otaczających ulicę liczne głowy mężczyzn, kobiet, dzieci mniej zwyczajnemu poczęły się przyglądać widokowi. Soroka postawił Skowronka obok dwóch chłopiąt, nieopodal ogromnego wąsacza, który na czele tłumy oczekiwał. Szepnęli coś do siebie po cichu, Soroka umknął i w tejże chwili tłum nieforemnie ściśnięty począł się rozbijać, rozdzielać, tworzyć długi szereg par, stanowić porządek w milczeniu.